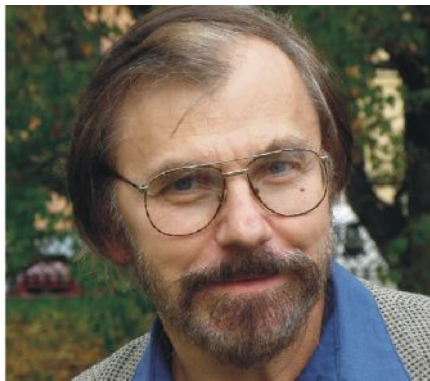


## Listy do Pani A. (124)



## Małopolskie karuzele

Droga Pani!

Znowu los połączył Krysię Konecką i mnie pod jednym dachem. Samochodu. Pojechalśmy, jak co roku, na Galicyjską Jesień Literacką. Jest to impreza, na którą podróżuje się z przyjemnością. Spotkania, galowe koncerty, poznaje się nowych ludzi – literatów oraz czytelników. Droga prowadzi przez Zawiercie i Pilicę, czyli miejsca, do których mam szczególnie sentyment. W Zawierciu chodziłem przez cztery lata do szkoły podstawowej.

W Pilicy, o czym Pani kiedyś wspominałem, był dom rodzinny Jurkowskich, który kupił i rozbudował dziadek Ludwik Jurkowski, po powrocie z Powstania Styczniowego. Miasteczko dosyć senne, ale urokliwe. Jeździłem tam w dzieciństwie na wakacje. Odwiedzam Rynek, klasztor reformatów, cmentarz... Ten sentyment odziedziczył mój syn, Jacek. Zawsze pyta, co tam w Pilicy, a ja – to już tradycja – odpowiadam: wszystko po staremu, dziadkowie nadal leżą na cmentarzu, nikt stamtąd nie uciekł, zwłaszcza że cmentarz otoczony murem...

Potem przez Wolbrom, Miechów, Skalmierz i Kazimierz Wielką dotarliśmy do Kąsnej Dolnej, do dworku Paderewskiego. Jazda dosyć męcząca, bo drogi wąskie i miejscami o fatalnej nawierzchni, ale szczęśliwie osiągnęliśmy cel. Jeszcze tego samego dnia wieczorem pojechalśmy do Bobowej na koncert inauguracyjny. Zmęczenie dawało znać o sobie, ale jakoś przetrwałem, wiersz przeczytałem. W powrotnej drodze chciałem zatankować, ale ustawiłem się przy dystrybutorze nie tą stroną, gdzie mam wlew paliwa. Zrezygnowałem więc. Wyjeżdżając ze stacji zapomniałem włączyć światła. Nastąpiła już noc, trochę było mi ciemno niczym po wypiciu spirytusu metylowego, ale tego trunku nam akurat nie podawano. Zorientowałem się dopiero po kilkunastu metrach, i naprawiłem ten błąd.

Aby jakoś ułatwić sobie liczne peregrynacje, prosiłem kolegów, aby – jadąc w tę samą stronę – trochę mnie pilotowali. Za pierwszym razem ustawiłem się za samo-

chodem Andrzeja Żmudy, a właściwie jego syna, by pojechać za nimi do Kobylnicy koło Gorlic. Tam serdecznie nas przyjął Franciszek Rzeszutek. Znałem go zresztą z kilku innych pobytów na tym terenie.

Spotkanie było bardzo dobre, młodzież słuchała naszych wierszy. Potem padały pytania. Na obiad pojechalśmy do restauracji na dawnym dworcu kolejowym. Jest tam gabinet urzędowy w stylu salonki Franciszka Józefa. Poczujęm się jak w tamtych, prawdziwie galicyjskich czasach.

Tę przyjemność zakłócała trochę perspektywa jazdy do Starego Sącza, ze względu na piekielnie trudny przejazd przez Nowy Sącz, gdzie zawsze się gubiłem. Ale jechał ze mną Andrzej Żmuda, który trochę zna tamten teren, a poza tym telefonicznie nawigowała mnie Ania. Gdyby nie straszny korek w mieście (jechałszy długi dystans z prędkością nie większą niż pięć kilometrów na godzinę), jazda byłaby przyjemna i bezstresowa. Ale cóż, władze miasta zapewne nie chcą, by mieszkańcom i przyjezdnym przewróciło się w głowie, i dlatego nie zmodernizowali ruchu. Z powrotem jechałem za busem, którym wracali niemal wszyscy uczestnicy. Miałem więc przewodnika.

W Nowym Sączu występowaliśmy w nowej siedzibie biblioteki. Mikroskopijne miasteczko, a kręciłem się w kółko, nie mogąc trafić pod wskazany adres. Przede wszystkim nikomu z rajców nie przyszło do głowy, by ustawić wyraźne tablice z nazwami ulic. Ale po co, skoro miejscowi wiedzą. Jeździłem po małej dziurze ze czterdzieści minut niczym po wielkiej metropolii, zanim niemal przypadkowo znaleźliśmy się we właściwym miejscu. Istna karuzela! Wynagrodziła nam to atmosfera samego spotkania, serdeczne przyjęcie przez długoletnią, zasłużoną i oddaną swoje pracy panią dyrektor tej placówki, Marię Sosin.

Potem była następna karuzela. Wjazd do Zbylitowskiej Góry, koło Tarnowa. Oczywiście, wszyscy miejscowi znają drogę. Ale ja wraz z kilkoma kolegami znowu nie mogłem znaleźć zjazdu z drogi głównej, i ponad pół godziny kręciłem się w kółko niczym w coś tam w przereblu. Wreszcie Włodek Sztokman dostrzegł nieoznakowany wjazd do wsi. Spóźnił się tylko pięć minut.

Potem do Olesna na koncert poetycko-muzyczny. Tam przyjmują nas z otwartymi rękami, goszczą, karmią obficie. Siedzimy na sali, a na estradzie Andrzej Grabowski, niczym dobry duch świetnie sprawujący pieczę nad autorami. Zaprasza kolejno mających czytać poetów do stolika. Byłem już nieco zmęczony i skołowany jazdą. Usiadłem, przeczytałem wiersz. Odchodząc, przewróciłem niechcący mały wazonik z kwiatami. Poprzez ażurowy, metalowy blat wylała się woda wprost do buta Andrzeja Grabowskiego. Jakoś to przeżył. Ostatecznie droga poety bywa najczęściej mokra i śliska...

Prawdziwym poematem była droga do Kolbuszowej. Prosta, dobrze oznakowana, a zjazd z niej widoczny, z sygnalizacją świetlną i lewoskrętem. Dalej znałem już trasę, i bez trudności dotarłem do biblioteki, skąd nas rozwieziono do różnych szkół na spotkania. Było nas trzech: Włodek Sztokman, Thai van

Nguyen z Wietnamu i ja. Thai, nazywany przez nas Tadeuszem, jako że na wietnamski przełożył „Pana Tadeusza”, był atrakcją spotkań.

Miałem w Kolbuszowej chyba najlepsze w tym roku spotkanie. Młodzież zadawała wiele pytań, słuchała z ciekawością moich opowieści o czasach szkolnych, widać było żywe zainteresowanie. Najgorzej wychodzą spotkania, na których słuchacze siedzą niczym gipsowe krasnale, i tylko czekają, kiedy autor skończy pieprzyć.

Bałem się też trochę wyjazdu do Tarnowa na koncert finałowy. Ale wtedy pojechalśmy wszyscy, obok mnie siedział Janek Dyduśiak, który doskonale zna miasto. Jechaliśmy jednak w cztery samochody, „kondukt” prowadził Andrzej Grabowski. Ponieważ Andrzej jechał dosyć wolno (za co mu byłem wdzięczny) musieliśmy rzeczywiście wyglądać jak smutny orszak. Czytaliśmy wiersze w tarnowskim ratuszu, w sali pełnej staropolskich portretów. Jest tam jeden konterfekt (już nie wiem czyj), niezmiennie przypominający mi Leszka Żulińskiego.

I tak Międzynarodowa Jesień Galicyjska dobiegła końca. Następną za rok. Ale co będzie za rok? Może Pani ma jakieś intuicyjne przeczucia? Miałem wrażenie, że jest Pani obecna, ukryta wśród publiczności; że Pani po prostu jest.

Okazuje się, że imprezy literackie, choć najczęściej kameralne są potrzebne. Wspominałem Pani o wieczorze autorskim Anny Marii Musz, który spotkał się z dużym uznaniem i zainteresowaniem. A potem był w Trzebnicy wernisaż obrazów Aleksandry Lis oraz Wiesławy Siwoń. Świetne, nastrojowe prace. Oprawą dla nich była poezja. Czytaliśmy z Anną Marią Musz wiersze. Prezentowali się również uczestnicy naszych warsztatów literackich. Wiesława Siwoń wypowiedziała się bardzo ciepło o naszych wierszach. Po zakończeniu spotkania daliśmy jej nasze książki. Ania „Lot nad miastem”, ja „Spacer do siebie”. Trzeba było widzieć, jak się pani Wiesława ucieszyła. Okazała autentyczną, promienną radość. Poczuliśmy, że jako poeci jednak jesteśmy komuś potrzebni.

Rok temu także byłem na „Galicii”. Rok temu w Krakowie na wieczorze autorskim „Pod Katarynką” prowadzonym przez Beatę Annę Symoń. Jeszcze wcześniej w wielu, wielu miejscach. A jakby to było wczoraj...

Najserdeczniej pozdrawiam Panią (aż) po raz sto dwudziesty czwarty –

Stefan Jurkowski

